

GAYLE FORMAN

Ten jeden rok

Przełożyła
Hanna Pasierska

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału angielskiego

Just one year

Copyright © 2013 by Gayle Forman

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

Projekt okładki: *Maria Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcie na okładce: Copyright © Natalia Ciobanu/Trevillion Images

Wszystkie cytaty z dzieł Williama Szekspira w przekładzie
Stanisława Barańczaka.

Grafika ze strony © Foong Kok Leong/Shutterstock ??????

DLA MARJORIE, TAMARY I LIBRY

Niech pod kotłem żar się żarzy...

WILLIAM SZEKSPIR,
Makbet

*Ech, w domu było mi jednak lepiej; ale cóż,
rozkosze podróżowania polegają podobno na tym,
że bez przerwy cierpi się niewygody.*

WILLIAM SZEKSPIR,
Jak wam się podoba

CZĘŚĆ PIERWSZA

Jeden rok

Rozdział pierwszy

Sierpień

Paryż

Ten sen ciągle do mnie powraca: jestem w samolocie, wysoko nad chmurami. Maszyna zaczyna schodzić do lądowania, a mnie ogarnia nagła panika, bo zdaję sobie sprawę, że wsiadłem do niewłaściwego samolotu, lecę nie tam, dokąd powinienem. Nigdy nie jest jasne, gdzie mam wylądować – w strefie wojny, w samym środku epidemii, w innym stuleciu – wiem tylko, że nie powinno mnie tam być. Czasami próbuję zapytać pasażera obok, dokąd zmierzamy, nie mogę jednak dostrzec wyraźnie jego twarzy, usłyszeć wyraźnie odpowiedzi. Budzę się spocony i zdezorientowany, mając w uszach dźwięk opuszczanego podwozia, bicie mojego serca. Zwykle musi upłynąć kilka chwil, nim odzyskam orientację, zanim do mnie dotrze, gdzie jestem – w mieszkaniu w Pradze, w hostelu w Kairze – ale nawet wtedy poczucie zagubienia nie znika.

Wydaje mi się, że teraz także śnię. Jak zwykle podnoszę roletę, by spojrzeć na chmury. Czuję szarpnięcie hydraulicznych cylindrów, siłę ściągającą nas w dół, ucisk w uszach, iskrę paniki. Odwracam się do pozbawionej twarzy pasażera obok – lecz tym razem mam wrażenie, że to nie ktoś obcy. To ktoś, kogo znam. Ktoś, z kim podróżuję. Ogarnia

mnie olbrzymia ulga. Niemożliwe, byśmy oboje wsiedli do niewłaściwego samolotu.

– Wiesz, dokąd lecimy? – pytam.

Nachylałam się bliżej. Już-już mam zobaczyć twarz, już mam usłyszeć odpowiedź, dowiedzieć się, dokąd lecę...

I wtedy słyszę syrenę.

Pierwszy raz zwróciłem na nie uwagę w Dubrowniku. Po-drożowałem z jakimś gościem poznanym w Albanii i usły-szeliśmy przejeżdżający obok samochód na sygnale. Syrena brzmiała jak z amerykańskiego filmu akcji; mój towarzysz skomentował, że każdy kraj ma swój własny charakterystycz-ny dźwięk.

– To przydatne, bo jeśli zapomnisz, gdzie się znajdujesz, zawsze możesz zamknąć oczy i pozwolić, by syreny ci to po-wiedziały – oświadczył.

Wędrowałem wtedy od roku i potrwało kilka minut, za-nim sobie przypomniałem brzmienie syren w moim kraju. Odzywały się niemal melodyjnie, niżej-wyżej-niżej-wyżej: la, la, la, la, jakby ktoś mruczał do siebie w roztargnieniu, ale pogodnie.

Ta tak nie brzmi. Beczy monotonna: nyea-nyea, nyea-nyea, jak elektryczna owca. Nie staje się głośniejsza ani cich-sza, przybliżając się lub oddalając: ściana zawodzącego dźwię-ku. Chociaż się staram, nie potrafię jej zlokalizować; nie mam pojęcia, gdzie jestem.

Wiem tylko, że nie u siebie.

* * *

Otwieram oczy. Wszystko jest jaskrawo oświetlone – z góry, ale także przez drobne rozbłyski w moich oczach, które bolą jak cholera. Opuszczam powieki.

Kai. Ten gość, z którym jechałem z Tirany do Dubrownika, miał na imię Kai. Piliśmy słabego chorwackiego piwnera na murach miejskich, a potem ze śmiechem sikaliśmy do Adriatyku. Miał na imię Kai. Był z Finlandii.

Syreny wyją. Wciąż nie mam pojęcia, gdzie jestem.

Zawodzenie milknie. Słyszę, jak otwierają się drzwi, czuję na skórze wilgotny dotyk. Ktoś mnie przynosi. Wyczuwam, że lepiej trzymać oczy zamknięte. Nie mam ochoty patrzeć na to wszystko.

Ale potem moje oczy zostają otwarte siłą i znowu pojawia się światło, ostre i bolesne, jak wtedy gdy zbyt długo patrzyłem na zaćmienie słońca. Saba ostrzegwał, żebym tego nie robił, ale od niektórych rzeczy nie można się oderwać. Głowa bolała mnie potem wiele godzin. Migrena zaćmieniowa. Tak to nazwali w wiadomościach. Mnóstwo ludzi jej dostało od gapienia się w słońce. To też pamiętam. Wciąż jednak nie wiem, gdzie jestem.

Teraz rozlegają się głosy, odbijające się echem jak w tunelu. Słyszę je, ale nie mogę zrozumieć słów.

– *Comment vous appelez-vous?* – pyta ktoś w języku, który nie jest moim, lecz który jakimś sposobem rozumiem. „Jak się pan nazywa?”

– Czy może nam pan podać swoje nazwisko? – To samo pytanie w innym języku, także nie moim.

– Willem de Ruiter.

Tym razem to mój głos. Moje nazwisko.

– Dobrze.

Głos jest męski. Wraca do pierwszego języka. Francuskiego. Mówi, że poprawnie podałem swoje nazwisko, a ja się zastanawiam, skąd to wie. Przez sekundę wydaje mi się, że to Bram, ale nawet taki skołowany kojarzę, że to niemożliwe. Bram nigdy nie nauczył się porządnie francuskiego.

– Willemie, teraz cię posadzimy.

Tył mojego łóżka – zdaje się, że leżę na łóżku – się podnosi. Znowu próbuję otworzyć oczy. Wszystko jest zamazane, ale mającą mi jaskrawe lampy nad głową, zniszczone ściany, metalowy stół.

– Jesteś w szpitalu, Willemie – informuje mężczyzna.

Okej, właśnie to wykombinowałem. To wyjaśnia również plamy krwi na podkoszulku – choć nie tłumaczy, skąd wziął się sam T-shirt, nienależący do mnie. Szary, z czerwonymi literami SOS. Co znaczy SOS? Do kogo należy podkoszulek? I czyja krew jest na nim?

Rozglądam się wokół. Widzę mężczyznę – lekarza? – w fartuchu, obok pielęgniarkę z lodowym kompresem dla mnie. Dotykam policzka. Skóra jest gorąca i opuchnięta. Cofam palec – okazuje się pokryty krwią. To odpowiedź na jedno z pytań.

– Jesteś w Paryżu – mówi lekarz. – Wiesz, gdzie się znajduje Paryż?

Jem tażin w marokańskiej restauracji w Montorgueil z Yael i Bramem. Obchodzę z kapeluszem widzów po występie z niemieckimi akrobatami na Montmartrze. Szaleję

spocony na występie *Mollier Than Molly* w Divan du Monde z Céline. I biegnę, biegnę przez targ Barbès, trzymając za rękę dziewczynę.

Ja k a d z i e w c z y n ę ?

– We Francji – dukam z trudem.

Mój język wydaje się włochaty jak wełniana skarpetka.

– Pamiętasz, co się stało? – pyta lekarz.

Słyszę łomot butów i czuję smak krwi. W ustach mam jej całe jezioro. Nie wiem, co z nią zrobić, więc przełykam.

– Zdaje się, że wdałeś się w bójkę – ciągnie mężczyzna. – Będziesz musiał złożyć doniesienie na policji. Ale najpierw trzeba ci założyć szwy na twarzy i zrobić tomografię głowy, by się upewnić, że nie doszło do powstania krwiaka podtwardówkowego. Jesteś tu na wakacjach?

Czarne włosy. Delikatny oddech. Dręczące uczucie, że zostawiłem gdzieś coś cennego. Klepię się po kieszeni.

– Moje rzeczy? – rzucam.

– Na miejscu zdarzenia znaleźliśmy twój plecak i jego rozsypaną zawartość. Paszport wciąż znajdował się w środku. Podobnie jak portfel.

Podaje mi jedno i drugie. Zaglądam do portfela. Jest w nim ponad sto euro, chociaż wydaje mi się, że miałem znacznie więcej. Dowodu tożsamości brak.

– Znaleźliśmy też to. – Pokazuje niewielki czarny notesik. – W portfelu nadal jest sporo pieniędzy, prawda? To by oznaczało, że nie chodziło o rabunek, chyba że pokonałeś napastników.

Marszczy brwi – jak mniemam, krytykując rzekomą głupotę takiego postępk.

Czy to zrobiłem? Tuż nad moją głową wisi mgła, jak ta nadciągająca rankiem znad kanałów, którą starałem się rozproszyc siłą woli. Ciągłe było mi zimno. Yael tłumaczyła, że mimo holenderskiego wyglądu mam w żyłach jej śródziemnomorską krew i dlatego tak się czuję. Pamiętam to, pamiętam gryzący wełniany koc, którym się owijałem, by nie marznąć. I chociaż już wiem, gdzie jestem, wciąż nie mam pojęcia dlaczego. Nie powinienem się znajdować w Paryżu. Powinienem być w Holandii. Może właśnie stąd bierze się uczucie dręczącego niepokoju.

„Rozwiej się. Rozwiej” – ponaglę mgłę. Ale okazuje się równie uparta, jak tamte holenderskie. A może to moja wola jest słaba jak zimowe słońce. Tak czy inaczej, nie znika.

– Wiesz, którego mamy dzisiaj? – pyta lekarz.

Próbuję się zastanowić, ale daty przemykają niczym liście w rynsztoku. Nie ma w tym jednak nic dziwnego. Nigdy nie pamiętam daty. Nie potrzebuję. Kręcę głową.

– Wiesz, jaki mamy miesiąc?

Augustus. Août. Nie, po angielsku.

– *August*, sierpień.

– Dzień tygodnia?

„*Donderdag*” – mówi coś w mojej głowie. Czwartek.

– Czwartek? – próbuję.

– Piątek – poprawia mężczyzna i dręczące uczucie przybiera na sile.

Może miałem się gdzieś zjawić w piątek.

Brzęczy interkom. Lekarz podnosi słuchawkę, rozmawia chwilę, rozłącza się i zwraca do mnie.

– Prześwietlenie będzie za pół godziny.

I zaczyna mi opowiadać o *commotions cérébrales*, czyli wstrząśnieniach mózgu, oraz przemijającej, krótkotrwałej utracie pamięci, o tomografii i prześwietleniach, ale niewiele z tego rozumiem.

– Czy mamy kogoś powiadomić? – pyta.

Mam wrażenie, że tak, ale za skarby świata nie potrafię sobie przypomnieć kogo. Bram nie żyje, Saba nie żyje, Yael równie dobrze mogłaby nie żyć. Kto jeszcze został?

Ogarniają mnie mdłości – błyskawicznie jak spadająca fala, do której stałem odwrócony plecami. Zaraz potem cały mój zakrwawiony podkoszulek jest pokryty wymiocinami. Pielęgniarka podsuwa miskę – szybko, ale niewystarczająco szybko. Podaje mi ręcznik, żebym mógł się wytrzeć. Doktor mówi coś o mdłościach i wstrząśnieniach mózgu. Mam łzy w oczach. Nigdy nie nauczyłem się wymiotować tak, żeby nie płakać.

Pielęgniarka ociera mi twarz drugim ręcznikiem.

– Och, jeszcze tutaj. – Wskazuje z czułym uśmiechem. – Tu, na rękę.

Na nadgarstku mam zegarek, złoty i błyszczący. Nie należy do mnie. Przez ułamek sekundy widzę go na dziewczęcej ręce. Przesuwam wzdłuż niej wargami w stronę szczupłego ramienia, umięśnionego barku, smukłej szyi. Sięgam twarzy, spodziewając się, że będzie pusta jak twarze we śnie. Ale nie.

Czarne włosy. Błada skóra. Pełne żaru oczy.

Patrzę znowu na zegarek. Mimo pękniętego szkiełka wciąż chodzi. Wskazuje dziewiątą. Zaczynam się domyślać, o czym zapomniałem.

Próbuję usiąść. Świat zmienia się w zupę.

Lekarz popycha mnie z powrotem na łóżko, kładąc mi dłoń na barku.

– Jesteś pobudzony wskutek dezorientacji. To minie, ale i tak musimy przeprowadzić tomografię, by się upewnić, że nie ma krwawienia do mózgu. Póki czekamy, zajmę się ranami na twarzy. Najpierw dam ci miejscowe znieczulenie.

Pielęgniarka przeciera mi policzek czymś pomarańczowym.

– Proszę się nie niepokoić. To nie plami.

Nie plami, tylko szczypie.

– Chyba powinienem już iść – oświadczam, kiedy szwy zostają założone.

Lekarz się śmieje. I przez sekundę widzę bladą skórę pokrytą białym pyłem, ciepłą pod jego cienką warstewką. Biały pokój. Pulsowanie policzka.

– Ktoś na mnie czeka.

Nie wiem kto, ale wiem, że to prawda.

– Kto na ciebie czeka? – pyta doktor.

– Nie pamiętam – przyznaję.

– Willemie, musimy zrobić tomografię. A potem chciałbym cię zatrzymać na obserwację, aż odzyskasz jasność myśli. Do czasu, kiedy będziesz wiedział, kto cię oczekuje.

Szyja. Skóra. Wargi. Krucha, lecz silna dłoń na moim sercu. Dotykam ręką piersi, zielonej bluzy chirurgicznej, którą dostałem od pielęgniarki, gdy rozcięli zakrwawiony podkoszulek, żeby sprawdzić, czy nie mam połamanych żeber. Imię... Mam je na końcu języka.

Zjawiają się salowi i wiozą mnie na inne piętro. Zostaję wsunięty do metalowej tuby, w której coś grzechocze na wysokości mojej głowy. Może za sprawą hałasu mgła zaczyna się rozwiewać. Jednak kiedy fragmenty wskakują na właściwe miejsca, ukazuje się spoza niej nie słońce, ale pochmurne, ołowiane niebo.

– Muszę wyjść. Natychmiast! – krzyczę z wnętrza maszyny.

Cisza. Pstryknięcie interkomu.

– Proszę się nie ruszać – rozkazuje po francusku bezcielesny głos.

Zostaję odwieziony z powrotem na dół, gdzie mam czekać. Mija południe.

Czekam. Pamiętam szpitale i przypominam sobie dokładnie, dlaczego ich nienawidzę.

Czekam. Tkwiąc w bezruchu, buzując od adrenaliny: wyścigowy wóz uwięziony w korku. Wyjmuję z kieszeni monetę i robię sztuczkę, której nauczył mnie w dzieciństwie Saba. Pomaga. Uspokajam się, a wtedy kolejne brakujące elementy układanki wsuwają się na miejsca. Przyjechaliśmy do Paryża razem. Jesteśmy razem w Paryżu. Czuję w pasie delikatny dotyk jej ręki, kiedy jechaliśmy razem na rowerze. I znacznie mniej delikatny uścisk, kiedy się obejmowaliśmy. Wczorajszej nocy. W białym pokoju.

Biały pokój. Ona jest w białym pokoju i czeka na mnie.

Rozglądam się. Sale szpitalne wcale nie są białe, jak się wszystkim zdaje. Są beżowe, brązowoszare, bladofioletowe: w neutralnych odcieniach mających złagodzić cierpienie. Od-

dałbym wszystko, by właśnie teraz znajdować się w naprawdę białym pokoju.

Po jakimś czasie wraca lekarz. Uśmiecha się.

– Dobre wieści! Nie ma krwawienia podtwardówkowego. Tylko wstrząśnienie mózgu. Jak twoja pamięć?

– Lepiej.

– Doskonale. Zaczekamy na policję. Spiszą zeznanie i będę mógł cię puścić do znajomej. Ale musisz bardzo na siebie uważać. Dam ci kartę z instrukcją, jak postępować, ale jest po francusku. Może ktoś ją przetłumaczy albo uda nam się ją znaleźć online w wersji angielskiej lub niderlandzkiej. . .

– *Ce ne sera pas nécessaire* – odpowiadam.

– Ach, znasz francuski? – pyta w tym języku.

Kiwam głową.

– Przypomniał mi się.

– To dobrze. Cała reszta też wróci.

– Więc mogę iść?

– Ktoś musi cię odebrać! I powinieneś złożyć doniesienie.

Policja. To potrwa całe godziny. Właściwie nie mam nic do powiedzenia. Znowu wyjmuję monetę i przrzucam między palcami.

– Żadnej policji!

Lekarz śledzi wzrokiem monetę wędrującą w poprzek mojej dłoni.

– Masz problemy z policją? – bada.

– Nie, nie o to chodzi. Muszę kogoś odszukać – wyjaśniam. Moneta spada z brzękiem na podłogę.

Lekarz podnosi ją i mi oddaje.

– Kogo?

Może dlatego, że zapytał tak swobodnie, mój poobijany mózg nie zdążył niczego pomieszać, zanim wypluł odpowiedź. Albo może mgła zaczyna się rozwiewać, pozostawiając po sobie okropny ból głowy. Ale oto jest: imię na moich wargach, jakbym je powtarzał nieustannie.

– Lulu.

– Ach, Lulu. *Trés bien!* – Mężczyzna z kłaśnięciem składa dłonie. – Zatem zadzwonimy do tej Lulu. Może przyjdzie ci odebrać. Albo my ją do ciebie przywieziemy.

Tłumaczenie, że nie wiem, gdzie jest Lulu, wiem tylko, że znajduje się w białym pokoju, że na mnie czeka, i to od długiego czasu, wydaje się zbyt skomplikowane. Znowu ogarnia mnie okropne przeczucie – nie tylko dlatego, że trafiłem do szpitala, gdzie na ogół gubi się różne przedmioty, ale z jakiejś innej przyczyny.

– Muszę iść – nalegam. – Jeśli nie wyjdę natychmiast, może być za późno.

Doktor patrzy na zegar na ścianie.

– Nie ma jeszcze drugiej. Wcałe nie jest późno.

– Dla mnie może być.

Może być. Jakby to, co ma się wydarzyć, jeszcze się nie stało.

Lekarz przygląda mi się długą chwilę. Potem kręci głową.

– Lepiej poczekać. Za kilka godzin pamięć ci wróci i znajdziesz tę dziewczynę.

– Nie mam kilku godzin!

Zastanawiam się, czy może mnie tu zatrzymać wbrew mojej woli. Zastanawiam się, czy w tej chwili w ogóle mam wolę. Ale coś pcha mnie naprzód, pomimo mgły i bólu.

– Muszę iść – upieram się. – Natychmiast.

Lekarz patrzy na mnie i wzdycha.

– *D'accord.*

Podaje mi plik dokumentów, mówiąc, że przez najbliższe dwa dni mam odpoczywać i codziennie zmieniać opatrunek i że szwy po prostu się wchłoną. Potem wręcza mi niewielką wizytówkę.

– Inspektor policji. Powiem, żeby jutro spodziewał się twojego telefonu.

Kiwam głową.

– Masz się gdzie zatrzymać? – pyta.

Klub Céline. Recytuję adres. Nazwę stacji metra. Przypominam je sobie z łatwością. Potrafię je znaleźć.

– Okej – ustępuje mężczyzna. – Zgłoś się do działu rozliczeń po wypis, a potem możesz iść.

– Dziękuję.

Kładzie mi rękę na ramieniu i przypomina, żebym się oszczędzał.

– Przykro mi, że w Paryżu spotkał cię taki nieprzyjemny wypadek.

Odwracam się w jego stronę. Nosi identyfikator, a ponieważ widzę już lepiej, udaje mi się skupić wzrok. DOCTEUR ROBINET. Z moimi oczami jest wszystko okej i dzień rzeczywiście okazuje się pochmurny. Mimo to mam dziwne wrażenie, mgliste uczucie – nie tyle szczęścia, ile pewności, jakbym stanął na stałym lądzie po zbyt długim czasie spę-

dzonym na morzu. Podpowiada mi ono, że kimkolwiek jest ta Lulu, w Paryżu coś się między nami wydarzyło – coś będącego zaprzeczeniem nieprzyjemnego wypadku.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49

faks: 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy

tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa

tel.: 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książkę wydrukowano na papierze

Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*

Redakcja *Magdalena Adamska*

Korekta *Katarzyna Sobiepanek-Szczęсна, Joanna Morawska*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12927-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.

Wydanie pierwsze

Druk: POZKAL, Inowrocław